

Łukasz Maślanka: Rzeczpospolita dziecinna

Naczelnym zadaniem obecnych elit politycznych powinno być wyciągnięcie Polski z zaklętego kręgu infantylności. Oznacza to zaangażowanie się w trudny i niewdzięczny proces wychowania oraz cywilizowania żywiołu społecznego, który wyniósł je do władzy - pisze Łukasz Maślanka w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Infantylizacja kultury.

Wybory parlamentarne 2007 roku były przełomowe pod wieloma względami. Nieco zmurszały gmach III RP, wstrząsany przez obóz braci Kaczyńskich, został ocalony dzięki głosom młodych i najmłodszych wyborców, którzy na osiem lat przekazali ster władzy Platformie Obywatelskiej i Polskiemu Stronnictwu Ludowemu. Nie mam na biurku szczegółowych badań statystycznych, ale nie pomylę się wiele, jeżeli stwierdzę, że ta właśnie grupa wiekowa stała się od tamtej pory języczkiem u wagi każdego następnego wyborów. To im “zawdzięczamy” fenomen Janusza Palikota, to oni wreszcie przyczynili się do zeszłorocznego zwycięstwa Andrzeja Dudy oraz Prawa i Sprawiedliwości, a dzięki głosom młodych mógł wejść do sejmu Paweł Kukiz, który dobrze odnalazł się w roli stabilizującej obecną władzę konstruktywnej opozycji.

Fenomen Polski rządzonej przez dzieci został już dawno zauważony i wszechstronnie skomentowany. Były to jednak opinie dość powierzchowne i uwarunkowane osobistymi sympatiami politycznymi:

w 2007 roku młodzi “zabierali babci dowód”, zaś w 2015 roku Adam Michnik zarzekał się, że “nie odda Polski gówniarzom”. Niewielu ludzi jednak zwraca uwagę na to, że, mimo dramatycznego konfliktu dzielącego dwa największe obozy polityczne współczesnej Polski, ta swoista pajdokratura, której sługami stawały się one na przestrzeni ostatnich lat, jest czynnikiem stałym. Zarówno w swojej wersji liberalnej, jak i konserwatywnej przynosi podobny skutek uboczny w postaci infantylizacji i radykalizacji polityki.

Zauważmy najpierw, że istnieją głębokie przyczyny społeczne, czy więc klasowe, które powinny skłaniać młodych ludzi do walki o swoje interesy w Polsce okresu późnej transformacji. Fakt, że najmłodszy wyborcy stali się dla partii politycznych wyjątkowo cennym nabytkiem, że stadne odruchy pokolenia 18-30 decydują o klimacie ideowym Polski, nie oznacza, że bieżąca polityka realizowana była dla zaspokojenia potrzeb tej grupy. Wręcz przeciwnie. Obserwowaliśmy w ostatnich latach petryfikację hierarchii społecznej, blokadę awansu, proletaryzację ludzi wchodzących na rynek pracy i oczywiście masową emigrację zarobkową. Potrzeby liderów nastrojów społecznych zaspakajane były po 2007 roku tylko na poziomie emocjonalnym: zdystansowanie się władzy od Kościoła, mgliste obietnice realizacji postulatów lewicy obyczajowej itd.

Kiedy w ostatnich latach doszło do zaostrzenia sytuacji geopolitycznej wokół Polski, zaś wewnątrz kraju zauważalne zaczęły być skutki oligarchizacji życia na wszystkich poziomach, nastroje młodego pokolenia uległy zmianie. Katolicyzm znowu stał się modny, historia przestała kojarzyć się z „okładaniem się teczkami”, młodzi spontanicznie i oddolnie rzucili się do „upamiętniania” i „odkłamywania”. Podobnie jak poprzednia fala „liberalna”, tak i obecny

przyrost nastrojów konserwatywnych ma swoje przykre skutki uboczne: wzrost popularności ruchów nacjonalistycznych, pokusa wprowadzania elementów państwa wyznaniowego, dość liczne przypadki agresji na tle narodowościowym itd. Obecny bunt młodych ma jednak tę przewagę nad poprzednim, że obok postulatów „emocjonalnych” bardzo mocno akcentuje swoje resentymenty społeczne, które zmusiły nową władzę do wprowadzenia lub przynajmniej zaplanowania reform egalitaryzujących życie w Polsce.

Reformy socjalnie nie są jednak jedyną przyczyną, dla której pajdokratura konserwatywna jest mi milsza od pajdokratury liberalnej. Polska wspólnota leży w samym centrum geopolitycznego cyklonu i musi ciągle wymuszać na sobie pozytywną odpowiedź na pytanie o sens własnego istnienia. III RP niezbyt dobrze wywiązywała się z tego zadania. Skrajna indywidualizacja życia, egoizm, korupcjogenne stosunki społeczne – wszystkie te czynniki zniechęcały młodych do poważnego planowania przyszłości nad Wisłą i czyniły z obiecywanej przez „autorytety moralne” postoświeceniowej wolności puste hasło. Jego realizacja była dostępna tylko dla tych nielicznych, którzy pozwolili się lojalizować jednej z wielu hulających tu grup interesu. Otóż akces do ostatniej konserwatywnej rewolucji oznacza także wyrażenie chęci bycia lojalizowanym przez państwo polskie. I tu pojawia się pierwszy problem.

Polega on na tym, że to państwo wciąż jeszcze nie zostało zbudowane. Mamy w chwili obecnej strukturę partyjną, w której jest zapewne wielu ludzi dobrej woli, ale która nie może zastąpić państwa. Partie polityczne, choć są podstawą nowoczesnej demokracji, mają też poważne ograniczenia: z jednej strony skłonność do monopolizowania aparatu państwowego swoimi funkcjonariuszami, a z drugiej strony

potrzebę ciągłego przypochlebiania się znaczącym grupom elektoratu. Wynikająca z tych dwóch ograniczeń tendencja jest następująca: potrzeby kadrowe aparatu partyjnego minimalizują udrożnienie dróg awansu społecznego, zaś potrzeby socjotechniki wymuszają konformizm wobec żywiołu rewolucji konserwatywnej, także w tych jej przejawach, które wymagałyby „ściągnięcia cugli”. Gdyby chcieć zilustrować infantyлизację polskiej polityki schematycznie, zobaczylibyśmy wzór pewnej transakcji: mniej realnych zmian bytowych w zamian za więcej retoryki.

Jeżeli Centralny Ośrodek Dyspozycji Politycznej nie będzie potrafił rozwiązać tego problemu, w końcu straci władzę. Po pierwsze dlatego, że nastrój, na którym opiera się rewolucja konserwatywna jest równie ulotny, jak przebiegająca w poprzednich latach „palikotyzacja”. Zeszłotygodniowe protesty „reprodukcyjne” zachęciły do wyjścia na ulicę ludzi, którzy uczestnictwo w pierwszych wyborach mają dopiero przed sobą. Tak samo jak na Marsze Niepodległości w apogeum rządów PO ściągały tłumy nastolatków – przyszłych wyborców „Dobrej Zmiany”. Po drugie, młodzież trwale zradykalizowana prawicowo zauważy w końcu dysonans między bliską jej retoryką władzy a niskim wpływem na politykę państwa, po czym znajdzie sobie nowych liderów. Po trzecie, sytuacja zewnętrzna wymaga budowy rzeczywistego państwa. Zastąpienie urzędowego optymizmu „cieplej wody w kranie” urzędowym optymizmem „wstawania z kolan” nie tylko nie zabezpiecza polskiego bytu, ale naraża go na jeszcze większe straty, o czym świadczy historia polskich powstań, w tym zwłaszcza blokujących pole manewru decydentów nastrojów społecznych roku 1863 czy 1939. Może się zdarzyć tak, że jakiś czynnik zewnętrzny zechce zapowiedzieć „Dobrej Zmianie” „sprawdzam”, zanim zdąży ona cokolwiek wybudować. Nastroje społeczne zostaną zaś doprowadzone do takiego stanu, w którym nie będzie można zrobić kroku wstecz.

Co robić? Naczelnym zadaniem obecnych elit politycznych powinno być wyciągnięcie Polski z zakłętego kręgu infantylności. Oznacza to zaangażowanie się w trudny i niewdzięczny proces wychowania oraz cywilizowania żywiołu społecznego, który wyniósł je do władzy. Na poziomie emocjonalnym należy powstrzymać to, co na własny użytek nazwałem „ozonizacją” Prawa i Sprawiedliwości. Kiedy w 1926 roku sanacja obejmowała władzę w Polsce, była nadzieją dla wielu ludzi, którzy oczekiwali z jednej strony porządku, ale z drugiej strony umiarkowania. Państwa, które nie niszczy własnej tradycji, ale też pozostaje świeckie. Państwa potrafiącego twardo przeciwstawić się presji międzynarodowej i grupom nacisku, ale szanującego prawa mniejszości. Polska ostatnich lat przedwojennych, którą obecna polityka historyczna maluje zresztą zbyt różowo, widziała bankructwo wszystkich tych nadziei: brutalne represje wobec Ukraińców, polityka zagraniczna bez pokrycia w realnej sile, bezradność państwa wobec antyżydowskich hec ONR-u, korupcja i swobodne hulanie po kraju rozmaitych agentur. Taki był efekt poszukiwania emocjonalnej legitymizacji w społeczeństwie i bratania się obozu sanacyjnego z elektoratem głównego przeciwnika. Nie oznacza to, że inna polityka mogłaby wówczas zmienić losy Polski. Ale faktem jest to, że II RP lat 30. kojarzy się nam pozytywnie tylko siłą porównania jej z tym, co działo się na Wschodzie i na Zachodzie.

Przekładając to wszystko na dzisiejszą rzeczywistość oczekiwałbym, by PiS w większej mierze powrócił do oblicza ideowego Porozumienia Centrum z lat 90. Konieczność pewnej militaryzacji społeczeństwa wobec zagrożenia rosyjskiego nie wymusza wpuszczania do armii ludzi, których z Władimirem Putinem łączy bezinteresowna nienawiść do narodu ukraińskiego. Potrzeba przeciwstawienia się skrajnie lewicowym ideologiom, prowadzącym do rozpadu zachodnich

społeczeństw, nie musi być realizowana według kagańcowych wzorów rosyjskich. Niewdzięczny i niehumanitarny przymus ochrony polskiego społeczeństwa przed narzucaniem mu nowych „stref osiedleń” nie powinien oznaczać akceptacji dla wyuczzonej bezradności Policji wobec ksenofobicznych aktów agresji. Reakcją na nienormalność powinna być normalność, a nie czarna sotnia. Demokratyczne państwo powinno jasno wyznaczać granice także tym grupom, które stały się filarem legitymacji obecnej władzy. Mówiąc obrazowo: niech mundury harcerek zastąpią „odzież patriotyczną”.

Sfery rządzące powinny stać się anty populistyczne na poziomie emocjonalnym, zaś pogłębić swój społecznie egalitarny rys, który niósł je do władzy w czasie kampanii wyborczej. Oddolna inicjatywa oraz umiejętności młodych ludzi powinna być wykorzystywana do promowania Polski, zwiększania siły jej gospodarki. Ktoś, kto wykonuje sensowną i zajmującą pracę, nie ma czasu, by wychodzić na ulicę i głosić radykalne hasła. Powracając do porównania z okresem międzywojennym: skłaniająca się ku nastrojom ulicy elita sanacyjna stawała się coraz bardziej sekciarska, czego wymownym świadectwem było odrzucenie wiosną 1939 roku oferty współpracy ze strony Frontu Morges wobec rysującego się coraz wyraźniej zagrożenia niemieckiego. „Nie będziemy z nikim dzielić owoców zwycięstwa” - miał wówczas powiedzieć prezydent Mościcki. Druga strona politycznej barykady we współczesnej Polsce nie ułatwia zadania: jest histeryczna, zachłanna, nie może pogodzić się z utratą rządu dusz, nie chce podzielić się nawet częścią przywilejów z formującą się – mniej lub bardziej szczęśliwie – nową elitą. Nie da się w żaden sposób przekonać architektów tamtego porządku. Oni albo przywrócą dawny stan rzeczy, albo odejdą na emeryturę wraz z jego ostatecznym końcem. Trzeba zatem zrobić wszystko, by wyłowić spod wpływu starej elity ludzi wartościowych, zasłużonych dla polskiej kultury lub dopiero „rokujących”. Skutecznie

można ten cel osiągnąć jedynie poprzez aktywny udział elit rządzących w deradykalizacji języka, poprzez rezygnację z wyniszczającej wojny światopoglądowej na rzecz starań o utrzymanie obecnego *status quo*, które w Polsce i tak jest szczęśliwie dość konserwatywne. Umożliwiłoby to skuteczniejsze odróżnienie tych, którzy dawnego porządku bronią z historycznego lęku przed polskim „talibanem” a tymi, którzy to robią to ze względu na obronę niesłusznie zdobytych przywilejów. Robiący karierę internecie smutny filmik z przesłaniem przerażonej Mai Komorowskiej nie jest przecież efektem jej chciwości ani przywiązania do skrajnie lewicowej subkultury, tylko prawdopodobnie tego, że spotkała ona dotąd po stronie konserwatywnej nikogo, kto mógłby w sposób racjonalny wytłumaczyć zachodzące w Polsce procesy. Takich ludzi jest bardzo wielu, we wszystkich grupach wiekowych.

Negatywne procesy dla obozu rządzącego nie toczą się wyłącznie na poziomie elektoratu, ale także wśród elit opiniotwórczych. Także i tutaj można zauważyć pewną infantyлизację, która niekoniecznie ma coś wspólnego z wiekiem. Oprawa propagandowo-medialna obecnej władzy zapewniana jest – z chlubnym wyłączeniem TVP Kultura – przez intelektualistów i dziennikarzy, którzy w dojrzałe życie wchodzili na początku procesu przemian ustrojowych. Wchodzili jako intelektualiści i dziennikarze „drugiej kategorii”, poddawani często brutalnemu ostracyzmowi ze strony dominującego nurtu postkomunistyczno-liberalnego. Dość brutalny darwinizm społeczny łączy się tutaj z radykalizmem religijnym, stary resentyment każe skupiać się na kilku ogranych tematach, które szybko mogą się znudzić i obrzydnąć, i które nie są decydujące dla przyszłości Polski. Potrzeba pewnej rekompensaty prestiżowej prowadzi do zaburzenia hierarchii, jak wtedy, gdy państwo, ustami swoich organów, każe nazywać wybitnymi dzieła i dorobki, które niekoniecznie są wybitne. Jeden przykład: fakt, że spora część krytyków literackich i biografów pomijała

w III RP niezwykle istotne wątki uwikłania pisarzy w PRL, nie oznacza, by w tej chwili monopol na tę problematykę powinny mieć osoby posługujące się retoryką bazarowych przekupek. Na dodatek, to pokolenie dziennikarzy „niepokornych” wychowało swoich następców, jeszcze bardziej radykalnych kulturowo i często znacznie mniej finezyjnych intelektualnie. Oni nie będą dobrymi wychowawcami.

Obecna władza nie jest skazana na radykalizm, jeżeli będzie potrafiła „wychować” (tak, wiem, że to brzmi strasznie jak Unia Wolności) konstruktywną część swojego elektoratu i pozyskiwać dzięki umiarkowaniu nowe grupy społeczne, które w końcu, po dłuższym zastanowieniu i sięgnięciu pamięcią do historii ostatniego ćwierćwiecza, dojdą do słusznego wniosku, że ich interes klasowy nie jest jakoś szczególnie związany z ojcami założycielami III RP. Trwający w tej chwili konserwatywny bunt młodego pokolenia, podobnie jak poprzednie, nie jest trwały, ale niesie w sobie znacznie więcej racjonalnych pierwiastków i słuszych postulatów niż poprzednie. Dzieci potrzebują jednak lojalnych i wymagających wychowawców. Lojalnych: takich, którzy nie będą okradać swoich wychowanków. Wymagających: potrafiących przeciwstawić się ich irracjonalnym dążeniom. Czy działająca w logice wyniszczającego sporu politycznego partia będzie potrafiła wyprowadzić Polskę z gorączki wieku dziecięcego?